Rozmaitości

DNIA 18. PAŹDZIERNIKA Nr 42. 1834 ROKU.

JACQUES BALMAT,
MONT-BLANC ZWANY.

(Wyjątek z przypomnień podróży na górę St. Bernharda, przez Alexandra Dumas, w *Revue de deux mondes* umieszczony.)

(Ciąg dalszy.)

»Gdyśmy już na szczycie góry *Dom* stanęli, widzieliśmy na wierzchołku *du Gouter* coś czarnego; gramoliło się w górę; aleśmy rozróżnić nie mogli, byłato koza, lub człowiek? Zaczęliśmy ku owéj stronie wołać, a skoro śmy, dla zrozumienia odpowiedzi, na chwilę cicho stanęli, mieliśmy następującą: »Hola, héj! słuchajcie! czekajcie na nas! my z wami pójdziemy!« myśmy też zaczekali, i wkrótce mogliśmy poznać Paccarda, który już był do sił przyszedł. Było z nim jeszcze dwóch innych, którzy w pół godziny z nami się złączyli: byłto Pierre Balmat i Marie Couliet, którzy się z drugimi założyli, że prędzéj od nich na *Dom du Gouter* staną; ale teraz zakład przegrali. Co do mnie, ażeby chwili nie puścić nadaremnie, poszedłem tymczasem na upatrzenie wygodniéjszéj strony; uszedłem w tył dobrą ćwierć godziny; szedłem po owéj wyżwspomnionéj krawędzi skały, która górę *Dom du Gouter* z *Mont-Blanc* połącza. Byłato droga dla człowieka, który na linie tańczyć umié! jednakże, mnie się zdaje, iżby mi się było powiodło dopiąć mojego zamiaru, gdyby mi góra *Pointe-Rouge* nie była, jak na złość, w drodze stanęła. Gdy tedy żadném podobieństwem ani krokiem daléj posunąć nie mogłem; musiałem, chcąc nie chcąc, jak niepyszny, wrócić się do miéjsca, gdziem był moich towarzyszów zostawił; ale wróciwszy, nic więcéj tam nie znalazłem, jak tylko moję torbę; o nich, ani słuchu! straciwszy nadzieję wejścia na szczyt *Mont-Blanc*, zostawiwszy mi mój zapas w torbie; poszli sobie zapewnie z Panem Bogiem do domu, mówiąc: »Balmat, to cały diabeł; ma nogi jelenia; już on nas dopędzi.« Byłem tedy sam jeden; przez dobrą chwilę chwiałem się, i nie wiedziałem, co mam czynić: czy pójść za nimi, czyli też uczynić zadość mojemu przedsięwzięciu. Z początku gniewało mię nie mało, że mię opuścili; ale gdy mi coś w sercu potajemnie szeptało, że mi tą razą pewnie mój się zamysł uda, poszedłem za mojém przeczuciem; zarzuciłem sakwę na plecy, i puściłem się w Imię Boskie w drogę; była wtedy czwarta w wieczór. Szedłem... Przebyłem wielkie odgórze *(plateau)* i doszedłem aż do lodowcu *Brinva*, zkąd mógłem Cormayeur i dolinę Aosta, w Piemoncie leżące, wygodnie, jak na talérzu, widziéć. Na szczycie *Mont-Blanc* leżała mgła gęsta, i dla tego nie chciałem iść wyżéj; nie tak z obawy, abym nie zabłądził, jak bardziéj dla tego, że mię drudzy nie będą mogli z doliny widziéć, a przeto i nie uwierzą, żem był na szczycie. Starałem się korzystać z téj krótkiéj chwili, która mi jeszcze z dnia pozostawała; szukałem miéjsca, gdziebym mógł przenocować; ale, kiedym żadnego nie znalazł, i sobie na owę piękną noc przypomniał, musiałem przedsięwziąć, nazad się wrócić. Zacząłem tedy w dół się spuszczać; ale, zaledwiem ku płaskiemu zbliżył się wzgórzu, tak wielki ból oczów uczułem, że mi się same tylko czerwone płatki widziéć zdawało; bo jeszcze wtenczas nie miałem téj przezorności, zieloną gazą ochraniać oczy, jakto poźniéj zawsze czyniłem. Usiadłem dla wytchnienia; zamknąłem oczy i wziąłem

)(

głowę w obie dłonie. W pół godziny już dobrze widzieć mógłem; ale się noc spuściła, a ja nie miałem czasu do stracenia. Porwałem się i szedłem wdół pokwapnie.«

»Jeszczem i dwieście kroków za sobą nię zostawił, a już po moim kiju uczułem, że pod mojémi nogami lód ustawać zaczynał; stałem na krawędzi téj wielkiéj rozpadliny — ty ją znasz, Pierre Payot,« tak się nazywał mój przewodnik,« ty znasz tę wielką rozpadlinę, w której wszyscy trzéj zginęli, i z której sam jeden tylko Pierre Coutet wydobytym został.«

»Cóżto za zdarzenie?« zapytałem mego przewodnika.

»Już ja to wćpanu jutro opowiém,« rzekł Payot, a, zwróciwszy się do Balmata, dodał: »Mów dalej, starcze, słuchamy.«

A Balmat wiódł dalej w te słowa: »Ejże, zbiérz swoje zmysły; opamiętaj się! tu nie są żarty, bądź ostrożnym!« mówiłem do siebie. Pamiętałem dobrze, żeśmy rano prześli byli śniegiem pokryty most lodowy. Szukałem go; ale noc zaczęła się skradać, i coraz bardziéj zaczęło się ciemnieć; a mój wzrok coraz bardziéj słabnął; mostu znaleźć nie mógłem. Wyż wspomniony ciężki ból głowy znowu powrócił; ani jeść, ani pić nie chciałem; w żołądku czułem jakąś bolesną, odbijającą się ckliwość, i coraz gorzéj mi się robiło. A jednakże cóż było czynić, musiałem tutaj aż do świtu pozostać; nie było rady. Rozścieliłem na śniegu odzież, dobyłem z kieszeni chustki i zawinąłem nią twarz; zbrałem się, tę noc, jak i przeszłą, o ile to można było, najlepiéj przepędzić. Ale ponieważ tą razą o dwa tysiące stóp wyżéj, aniżeli pierwszą razą byłem; więc i zimno było ostrzéjsze, a szron i te lśniące się pyłki śnieżne, którémi nieustannie pudrowany byłem, nabawiały mię coraz większéj otrętwiałości. Czułem, że mi coraz więcéj głowa ciężała, i coraz bardziéj na sen mi się zbiérało. Czarne myśli, smutniéjsze, aniżeli śmierć sama, zaczęły chodzić po mojéj głowie; chociażem je rozpędzał i gonił od siebie, nie mógłem się ich pozbyć żadną miarą, a wiedziałem dobrze, że te smutne myśli, że to snu nagabanie, to mimo-chętne ziewanie, były bardzo złemi znakami; wiedziałem, że gdybym raz tylko oczy zamknął, jużbym ich nigdy więcéj nie był otworzył. Mój stan nie był godzien zazdrości, wierzaj mi wćpan.«

»Z tego miéjsca, na którém byłem, mógłem o dziesięć tysięcy stóp w głębokości widzieć pode mną światło w Chamouny, gdzie moi towarzysze w wygodném gnieździe, przy ciepłym piecu, albo w łóżku, wesołéj byli myśli! »Któż wié,« rzekłem do siebie; »może z nich żaden i nie pamięta o mnie; albo, chociażby i pamiętał, cóżto pomoże; poprawiając sobie ogień na kominku, albo zaciągając kołdrę na uszy, mówi z uśmiechem zapewnie: »Teraz, kiedy ja tu sobie wygodnie jak pan jaki spoczywam, nasz głupi Jacques Balmat morduje swe nogi, i chucha w pięści.« To pomyśliwszy, wstrząsłem sobą, i z dumą rzekłem do siebie: »Naprzód Balmat! Nabierz odwagi;« — jużci prawda, na odwadze mi nie zbywało; ale na siłach! na siłach! Człowiek nie z żelaza; czułem, że mi się nie dobrze robiło, słabłem; byłem jakby w obcą skórę wzuty, twardą skorupą powlekły. W tych krótkich przestankach, w których bądź śnieżna zaspa nie runęła, bądź huk pękających lodowców ciszy nie przerwał; słyszałem szczekanie psa w Cormayeur, chociaż od miéjsca, na którém się znajdowałem, aż do owéj wsi, przynajmniéj półtoréj mili było. Byłato moja jedyna pociecha! tém szczekaniem psa czas sobie rozrywałem; niém karmiłem odwagę! byłto jedyny głos żyjącego, który z zamieszkałéj ziemi mego słuchu dochodził. Około północy zamikł pies, a ja znowu, jak pérwéj, w głęboką ciszę zatonąłem, w ciszę, jaka tylko umarłym na cmentarzu panuje; albowiem ani huku trzaskających lodowców, ani łomotu w dół lecących brył śnieżnych tutaj nie liczę; takowy huk jest głosem góry, na swój biédny stan narzekającéj; jest przepaści westchnieniem, które człowieka bynamniéj nie rozwesela, ale przestrasza tylko. Nie miło, kiedy góry do człowieka gadają. — O drugiéj widziałem na horyzoncie znowu tenże sam biały szmat obłoku, o którym już wyżéj wspominałem. Słońce wzejszło jak i pierwszą razą, ale, jak i pierwszą razą, przywdziała *Mont-Blanc* swoję perukę, co zawsze czynić zwykła, skoro się rozdąsa; a wtedy nie ma z nią żartu, i ani jéj zaczépiaj! —«

»Znałem jéj chymery i nie chciałem się z nią draźnić, dałem jéj pokój; puściłem się ku domowi, wprawdzie z bardzo kwaśną miną, ale też i nie z rozpaczającą, że mi się po dwa kroć nie udało; bo mi coś zawsze do ucha szeptało: »Balmat, wytrwaj tylko, a pewnie ci się po trzeci raz uda!« W domu zastałem wszystko w porządku i w dobrym zdrowiu; moja żona zastawiła mi kilka pełnych półmisków, ale mnie więcéj sen, aniżeli głód trapił; chciała koniecznie, abym się w izbie w łóżku przespał; alem się much obawiał, i wlazłem sobie po drabinie na strych, gdziem się na świeżém sianku rozkosznie rozciągał, i dwadzieścia cztéry godzin, jakem uczciwy, jednym ciągiem chrapał.«

»Już było trzy niedziel minęło, a jeszczem się pięknéj pogody, jak mi jéj było potrzeba, nie doczekał; ale dla tego we mnie moja chęć puszczenia się po raz trzeci w podróż, bynajmniéj nie ostygła, i owszem zaczęła mi, iż tak rzekę, mocniéj dopiekać. Doktor Paccard, o którym już mówiłem, życzył sobie towarzyszyć mi w mojéj wyprawie; umówiliśmy między sobą, że piérwszy piękny dzionek będzie nam hasłem do wyruszenia. Długośmy czekali. Każdego zaranku wyciągaliśmy, jak owe bociany, szyję ku wschodowi; a każdego zaranku musieliśmy widzieć ze smutkiem, że nasza pani *Mont-Blanc* zawsze była w swojéj peruce. Aż nakoniec przyszedł ósmy dzień sierpnia 1786 r. Powietrze było spokojne, niebo czyste, i pogoda dość stała być się wydawała. Cieszyłem się, jakby mnie kto na sto koni wsadził! Pobiegłem wyszukać Paccarda, i znalazłszy go, rzekłem do niego: »No, jakże tam z nami, panie doktorze? Pogoda piękna! niebo, aż miło! Czy ruszymy w pochód? czyś gotów? Ale bądź otwartym, przyznaj się, nie maszże bojaźni? nie lękasz się zimna, śniegu, przepaści, lub podobnych drobnostek? Powiedz mi to, jako mąż i człowiek honoru.« — »Z tobą, Balmat, nie lękam się niczego;« odpowiedział mi Paccard. »Kiedy tak, więc dobrze,« powiedziałem ja; »pora nam służy, powietrze czyste, idźmyż w Imię Boże; któż wié, może nam się przecież raz uda wyleźć na tę krecią mogiłkę.« A doktor na to: »Dobrze mówisz, idźmy w Imię Boże! może nam się uda! jużem gotów;« ale gdyto: jużem gotów wymówił, i gdy mu drzwi zamykać przyszło; zaczął, jak mi się zdawało, nos spuszczać na kwintę; bo mu klucz z dziury w żaden sposób wyleźć nie chciał: kręcił nim, i dłubał po zamku; aż mi się już przykrzyć zaczęło; przecież go raz wyciągnął. »Słuchajno Balmat,« rzekł do mnie, »jakbyto było, gdybyśmy sobie dwóch przewodników przybrali?« — »Nie,« odpowiedziałem, »co nato, wcale nie przystaję; albo ja sam jeden z wćpanem, albo wćpan z innymi. Na górze *Mont-Blanc* piérwszym, a nie drugim być muszę!« Zamyślił się trochę pan doktor, włożył klucz do kieszeni, spuścił w dół głowę, i jakby nie swój, szedł za mną. Uszedłszy kawał, stanął, i potrząsłszy uszyma, rzekł do mnie: »Niechże i tak będzie; oto moja ręka: Balmat powierzam się tobie i z duszą i z ciałem. Naprzód! Bóg z nami!« — »Bóg z nami!« odrzekłem. Doktor szedł, stawał, a nareszcie zaczął sobie śpiewać; ale, pomimo wesołość jego, coś mu śpiew nie bardzo lekko szedł z gardła. Znać, coś niemiłego musiał myśléć sobie pan doktor. Wziąłem go za rękę. »Nie dosyć na tém,« rzekłem do niego; »o naszém przedsięwzięciu, prócz naszych żon, nikt wiedzieć nie ma; to wymawiam sobie.« Doktor kiwnął głową, coś przecedził przez zęby, alem ja nie słyszał.«

»Jednakże chwilę poźniéj i trzecią osobę wciągnęliśmy w naszę tajemnicę; byłato kramarka, u któréj syrup dla domieszania do wody kupować musieliśmy; bo sama tylko gorzałka w takowym razie za mocna była. Aże się już czegoś domyślać zaczynała; więc, chcąc nie chcąc, musieliśmy jéj powiedzieć wszystko i prosiliśmy ją bardzo pięknie, aby nazajutrz o dziewiątéj, od strony *Dom du Gouter*, za nami w górę ciekawie patrzyła; to była godzina, o któréj tam, jeżeliby nam się jaka w drodze przygoda nie zdarzyła, koniecznie stanąć musieliśmy.«

Gdyśmy tedy wszystkie małe potrzeby już załatwili i wszystko w podróż naszę uporządkowali, wzięliśmy od naszych żon pożegnanie i puściliśmy się o piątéj wieczorem w drogę. Aby zaś nikt naszego zamysłu nie spostrzegł, jeden z nas poszedł lewym, a drugi prawym brzegiem rzéki Arwy. Przy wiosce *La Côte* zeszliśmy się razem. Tego samego jeszcze wieczora przenocowaliśmy

na szczycie góry *La Côte*, pomiędzy lodowcem *Bossons* i *Taconnay*. Byłem przezorny; wziąłem z sobą w zapas wyśmienitą, z włosia tkaną kołdrę; obwinąłem nią doktora, jak się małe dziecię obwija, i w takowej pieluszce miał noc jaką taką; co do mnie, położyłem się na goło, i spałem ciągiem aż do pół do drugiéj. O drugiéj dał się widzieć biały szmat obłoku, a słońce wschodziło czysto, świetnie i spaniale, bez najmniejszéj chmurki; zapowiadało nam dzień prześliczny! Przebudziłem doktora, wyjąłem go z pokrowca, i puściliśmy się w drogę.«

»W jednym kwadransie weszliśmy na lodowiec *Taconnay*: na tém szérokiem morzu odwiecznych śniegów nie szło z początku pomyślnie doktorowi; gdy mu przyszło iść pomiędzy niedojrzane okiem przepaści, pomiędzy bezdenne otchłanie, parowy i rozpadliny; gdy musiał przechodzić te lodowe, pod nogami z hukiem trzaskające mosty; chwiał się i wzdrygał za każdym krokiem; ale widząc, jak się ja zręcznie i śmiało uwijam, sobie radzę; zaczął się powoli uspokajać i w moje ślady wstępował. Tą razą poszło nam wszystko pomyślnie. Nie długo trwało, a już zaczęliśmy się wdrapywać na wierzchołek *Grands-Mulets*; było tam nie mało zawad i kłopotu; ale i to nam się przebyć powiodło; wkrótce wszelkie przeszkody już były za nami. Pokazałem doktorowi miéjsce, gdziem nie dawno noc przepędził; gdy je ujrzał, pociągnął nosem, a twarz mu się o całą piędź przedłużyła; jakże na mnie oczy wytrzészczył. Przez całe dziesięć minut stał jak słup, niemy i prawie bez duszy. Potém rzekł do mnie: »Jak sądzisz Balmat, czy nam się dzisiaj powiedzie, stanąć na szczycie *Mont-Blanc*?« Zwąchałem o co mu chodziło; śmiejąc się i nibyto potakując, kiwnąłem głową; jednakże nic mu słowami nie przyrzekłem. Tak szliśmy, albo raczéj leźliśmy przez całe dwie godziny w górę. Nakoniec przyszliśmy przecież z wielką biédą do wielkiego odgórza, ale wraz z nami zawitał tam i wiatr ostry, który się coraz bardziéj i bardziéj wzmagał. Odetchnąwszy, szliśmy daléj.«

(Dokończenie nastąpi.)

NOC I POMNIKI.

Sam może jeden dzisiaj czuwający
Doznałem pośród letargu stworzenia,
Jak usposabia nocy bieg milczący
Serce do tęsknych uczuć przypomnienia.
Byłem wesoły. — Zkądżeto westchnienie,
Ten ślad boleści i to serca drzenie?

Spi matka ziemia; u stóp stworzyciela
Niemy ruch wiodą światy rozsypane:
Czemuż téj świętéj ciszy nie podziela
Na ciężkie myśli serce me skazane?
Ni mię sen wezwie do skończenia lotu,
Ni moich myśli zatrzyma obrotu.

To — świeci marmur — pomnik bohatéra,
Powiernik dziejów. Z jego zimnéj skroni
Kwitnący wawrzyn cień kosztowną roni;
Na śmiałe liścia cześć i podziw zbiera.
Tu noc przemarzę — padłem na kolana.
Boże! czy tylko przeszłym wielkość dana!?

»Lauru lub śmierci!« mocarz ziemi woła,
Staje na rozkaz. — Któż? — nadzieja mała.
A ci co przeszli? — Na ich ciche czoła
Swą wszystką sławę kładzie przeszłość cała.
Czémże potęga człowieka? — Cóż może
Z całem swém sercem i duszą? — Cóż może?

Oto jak orlik bezduszny wziąć loty
Nad ziemię na to, by pierś kruchą zbliżyć
Do burz i gromów — by cienisty, złoty
Pomnik młodości, pokój zniszczyć, zniżyć
Lot śmiały i znieść między pokolenia
Jasno wschodzące chmurne doświadczenia.

Ach! Ach! czyż tylko przeszłym wielkość dana?!
Nie — mimowolnie rzekłem. Mary, wnioski
Opadły, dusza ku niebu porwana,
Na sercu jakiś ślad pozostał boski.
Znam taką chwilę! Tak nadzieja sławy
Kryła przede mną obraz nieszczęść krwawy.

Stało się! Ślepy puszczam się za wami.
O! poprzednicy moi! mistrze chwały!
Ufny losowi, już igram z myślami
Po falach życia, dźwięk słodki i stały
Zajmuje serce moje, duszę moją —
Próżno mię słabsze burze niepokoją!

O stałość śmiało, silnie opartemu
Los pokazywał tylko wielkość, chwałę,
A nadziejami w niebo wzniesionemu
Wszystko, co ziemskie, zdało się tak małe,
Tak godne wzgardy! — W tem jakiś podróżny
»Młodzieńcze śmiały,« rzecze, »bądź ostrożny!«

J A.

U stóp marmuru nizki grób ciemnieje.
Tu leży? — Starzec sto-letni! — Krzyż prosty,
U krzyża rosa samotna bieleje,
Gałązki ślazu, powoju porosty,

Co samo niebo z litości rzuciło:
Patrz na co sto lat długie zarobiło.

PODRÓŻNY.

To łza, młodzieńcze! ludzkich żalów dusza,
Pamiątka prosta, cicha, pogrobowa. —
Przybliż się do niej, Bóg w niej zamknął słowa
Milsze, niż wieńce, które czas okrusza.
Gdyby nagrobkiem ziemi łza być miała,
Ziemiaby z niebem przedziałów nie znała.

Sława posągów niestała, jak żądza;
Ich przeznaczeniem czas, moda rozrządza;
Próżno w nich dłuto swoje cuda składa —
O! łza wymowniej o życiu powiada!
Połóż kres żądzom, pędzącym w głąb globu,
Staraj się o łzy dla twojego grobu.

JA.

Stało się! Ślepy puszczam się za wami.
O! poprzednicy moi! mistrze chwały!
Ufny losowi, już igram z myślami
Po falach życia; dźwięk słodki i stały
Zajmuje serce moje, duszę moją;
Nie lubię przestróg, co mnie niepokoją.

TOM. AUG. OLIZAROWSKI.

JESZCZE JEDEN RZUT OKA
NA NOWĄ OPTYKĘ WARWICKA.*
(Z niemieckiego G. B. Deppinga.)

Nie mogłem zapomnieć tych dziwnych postaci źwierzęcych, które Warwick pokazywał nam w swojéj powiększonéj optyce. Owe potworne figury i szczególne ich poruszenia prześladowały mię wszędzie. Musiałem pójść raz jeszcze, przynajmniéj, ażeby widzieć, czy zawsze bywają te same postaci. Ten Warwick jestto flegmatyczny Anglik, i tak się trudni swoją optyką, jak szewc lub krawiec swojém rzemiosłem. Najprzód odbiéra w kasie pieniądze, a potém staje się tłumaczem występujących przedmiotów i co wieczora jednako rozpowiada, nigdy ani mniéj ani więcéj. Żyje on z swoich niewidzialnych źwierzątek, jak inny ze swojego słonia lub niedźwiedzia; nie jestto wprawdzie bardzo świetne życie, ale też za to nie potrzebuje nikogo żywić, wyjąwszy swojego służącego, wprowadzającego w ruch optykę, gdy on tymczasem koło ściany stoi i zjawiające się źwierzątko objaśnia. Sądziłem, że człowiek, obcujący codziennie z niewidzialnym światem wodnym, musiał głęboko ukrytą zbadać przyrodę. Lecz niczego od niego dowiedzieć się nie można. Co wie, udziela publiczności w nie wielu wyrazach, o dalsze szczegóły na próżnoby go wypytywano.

Jest rzeczą zadziwiającą, że regularnie te same zjawiska występują w jego wodnym świecie. Jeźli woda brana jest np: z ogrodu botanicznego, zwykle pokazują się dwa węże, lecz nigdy ani mniéj, ani więcéj. Zdaje się prawie, jak gdyby artysta umyślnie je przysposobił do tego i umieszczał każdego wieczora w szkle swojém. Węże te mają głowy i szyje jak krew czerwone i są bardzo żywe w poruszeniach. Jest z resztą rzeczą nader szczególną, z jaką siłą muskuł ruszają się te źwierzątka wodne. Jeźlito prawda, że pchła ma kilkaset muskuł, to taki wąż mikroskopijny musi ich mieć pewnie tysiące, kiedy może tak rozmaitym sposobem wić się, kręcić i ruszać. Warwick utrzymuje, że węże te są rodzicami komarów; jeźli to prawda, to dzieci wcale do rodziców niepodobne; lecz gdy całkiem jednak odrodzić się nie mogły, przejęły więc komary cokolwiek także rączości od rodziców swoich. Kiedy pierwszy raz widziałem scenę w wężami, były one jedynémi aktorami na widowni, a chociaż pokazywały się inne źwierzątka, te bynajmniéj nie psuły im ich wesołości; były bowiem za nadto małe i nieznaczące, ażeby im niebezpiecznémi być mogły. Jeden z dwóch wężów długo tém się bawił, że źdźbło, zdające się wyrastać w wodzie, a które zaledwo dojrzéć było można, chwytał swoim czerwonym pyszczkiem i tu i ówdzie ciągnął. Może na niém siedziało jakie źwierzątko, które jego pożywieniem było. Ponieważ Warwick pokazywał nam wprzódy włos, a ten w jego szkle powiększającém był grubości kija, więc owo źdźbło wodne musiało przynajmniéj tysiąc razy od włosa ludzkiego być delikatniéjsze. — Drugi raz scena z wężami nie była tak sielankową, jak pierwszą razą, i tragiczny miała koniec. Oprócz wężów znajdowało się w wodzie inne jeszcze zwierzę, bynajmniéj nie zdające się być ich przyjacielem. Ten świadek ich rozrywek miłosnych byłato jakaś chytra poczwarka, podobna cokolwiek do krokodyla, i dla tego też Warwick dawał jéj takie nazwisko; tylko że miała dłuższe i cieńsze nogi i coś podobnego do rożków.

* Obaczyć Nr. 21. Rozmait. z r. b.

Chwilę tylko trzeba było uważać na tego krokodylka, ażeby się przekonać, że myślił nienajlepiéj o wężach; albowiem zdradziecko naokoło nich krążył i chciał, niepostrzeżony, przysunąć się ku nim, a jednak tyle był bojaźliwym, że lękał się zajść im prosto w oczy. Można było zaraz domyślić się, że to był zdrajca w niewinnym świecie wodnym, szatan tego rodzaju wężów. Węże na bok się przed nim usuwały, unikały zbliżenia się do tego chytrego źwierzęcia i wcale już nie pieściły się z sobą, jak pierwszą razą, kiedy świat wodny całkiem do nich należał. Przeciwnie były w trwodze i nie oddalały się od siebie. Lecz ów chytry mały krokodylek ani chwili z oka ich nie spuszczał, groźnie podniósł rożki do góry i, gdy raz jeden z wężów nieostrożnie się ku niemu przysunął, łotrzyk skoczył nań i porwał go za gardło za pomocą owych mniemanych rożków, które teraz okazały się prawdziwémi kleszczami. Ponieważ lękliwe źwierzęta są zawsze słabe, więc i krokodyl nie miał dosyć siły, pociągnąć z sobą węża, lecz zawisł na nim, jak gdyby sam był niewolnikiem jego. Myślałem, że wąż użyje teraz wszelkiéj siły swych muskuł, któréj tyle w dawnych igraszkach rozwijał, i że potrafi się uwolnić od tego słabego i lękliwego prześladowcy; lecz, mimo oczekiwań naszych, biédak ani drygnął od téj chwili. Zapewne musiał już być uduszony, a zwycięzca oczekiwał tylko na zupełne jego skonanie, ażeby go tym wygodn[illegible]éj i bez niebezpieczeństwa pożréć. Czy uduszony wąż był samiec czy samica, nie umiał nam Warwick powiedzieć. Wszakże ażeby rzecz tę tkliwszą uczynić, wyobraziłem sobie, że to samica; bo już od czasów Ewy, mniéj płeć niewieścia niebezpieczeństwo przewiduje i łatwiéj w sidła wpada. Byłem ciekawy widzieć, co w téj chwili krytycznéj samiec robić będzie. Ach! w piérwszym przestrachu uciekł jak oparzony. Piérwsza miłość od siebie, a tak w małym świecie wodnym jak i w dużym ziemskim popęd do utrzymania życia jest najmocniéjszy ze wszystkich popędów. Lecz widząc w końcu, że samica, która go nie dawno swojémi przyjemnémi igraszkami tyle bawiła, już tylko w konających drgała poruszeniach, ogarnęła rozpacz opuszczonego wdowca; przypadł i zaczął okropne naokoło zabójcy robić skoki, lecz to ani na włos nie polepszyło losu samicy. Bo, mimo rozpaczy, miał samiec jednak tę przezorność, że się nie bardzo zbliżał do krokodyla. Ciągle tylko skakał około samicy, ale to tyle jéj pomogło, co umarłemu kadzidło. Chętnie chciałbym był widziéć koniec téj trajedyi, lecz Warwick jestto człowiek regularny: usunął szkła, ponieważ czas upłynął i światło gazowe kończyło się. Musieliśmy więc przedstawić sobie według własnéj wyobraźni nieszczęsny koniec biédnéj samicy; może przebrzydły aryman świata wodnego następnéj nocy i samca uchwyciwszy zjadł go na śniadanie. Wieczorem pokazywał znowu Warwick swoję optykę i znowu w niéj dwa węże widziano. Nie pojmuję, czém się to dzieje, że w wodzie z ogrodu botanicznego występują zawsze tylko dwa węże. Prawie co wieczora i aryman jest przy nich, i bardzo rzadko trafia się, żeby go nie było; a wtedy węże swobodnie bawią się z sobą. Tyran wónczas trawi zapewne którego z ich braci.

Warwick, pokazawszy pojedyńczo źwierzęta różnych gatunków wody, miesza je razem; a wtedy powstaje prawdziwy zamęt. Zupełnie obce sobie źwierzątka, jedne drugiemi przestraszone, uciekają przed sobą, potrącają się w zamieszaniu, kaléczą się i przyjść nie mogą do siebie. Pomyślałem, jakbyto było pocieszną rzeczą, gdyby np: na Syryuszu był jaki Warwick, i gdyby dla rozrywki ziomków swoich pokazywał najprzód w optyce mieszkańców pojedyńczych krajów naszego planety, a potém razem pomieszał Rossyjanów z Kaframi, Niemców z Murzynami, Francuzów z Karaibami i t. p.; a wtedy widzom Syryusza podobnie pocieszny wystawiłby widok, jaki nam Warwick wystawia.

Z TURECKIEGO.*

(Z dzieł lorda Byrona.)

The chain I gave was fair to view.

Łańcuch, który ci dałem, wyglądał spaniale,
I lutnia, którąm przydał, słodkie miała głosy,
I serce, com ci oddał, wierne było stale:
Wszystko źle zasłużonem pokazały losy.

Te dary, gdym odchodził, miały poruczone
Straże przysiąg twych, skutkiem czarodziejskiej siły;

* Toż samo przełożył A. Ed. Odyniec.

I one dobrze swoję powinność robiły;
Lecz ciebie twéj nauczyć... ach, nie mogły one!

Ten łańcuch miał wytrwałe i mocne ogniwa,
Ale nie mógł dotknięcia obcéj ścierpieć ręki;
Ta lutnia słodko brzmiała — zanimeś, zdradliwa!
Myślała, że dłoń inna takież wyda dźwięki.

Niechże ci ten, co łańcuch zdjął ze szyi twojéj,
I w którego podstępnéj rozpękł się dłoni,
Co widział, że mu lutnia dźwięków swoich broni,
Ponaprawia ogniwka, i lutnię nastroi.

Z twoją zmianą i one postać wzięły nowę;
Pękł łańcuch, lutnia tonów z siebie nie wytrąca:
Stało się — więc i ty mi, i wy bądźcie zdrowe —
Zmienne serce, mdły kruszczu i lutni milcząca!

WŁADYSŁAW S...

— Ze Lwowa. —

Pism Julijana Alexandra i Julii Ad. Kamińskich, oddziału II. zeszyt pierwszy, opuścił właśnie prasę w drukarni Piotra Pillera i zawiéra Smiészka, zeszyt II.

Z Krakowa. P. Hipolit Terlecki, medycyny doktor, ogłosił tu przedpłatę na dzieło pod napisem: Rady zachowania się niewiast czasu brzemienności, porodu, połogu, tudzież o pielęgnowaniu niemowląt i wyborze mamki. Użyteczne dzieło to ma w styczniu r. 1835 prasę opuścić. — Przerwane czas niejaki widowiska teatralne mają tu rozpocząć się z dniem 1. listopada r. b. i jak Gazeta Krakowska donosi, teatr tutejszy ulegnie wielu odmianom, na których skorzysta. — Wiekopomnej pamięci ksiądz Piotr Skarga Pawęzki, zgromadzenia jezusowego, za panowania Zygmunta III., króla polskiego, w Krakowie żyjący, wzruszony nędzą cierpiącej ludzkości, wzorową kaznodziéjską wymową potrafił ludzkie umysły do litości pobudzić, a zyskawszy zaufanie współobywateli, z publicznych składek, w téj niegdy stolicy królów polskich dnia 7go października 1584 roku, założył węgielny kamień Bractwa Miłosierdzia, które następnie ofiarami wielu dobroczyńców do znacznej doszło zamożności, a za pośrednictwem i ojcowską wysokiego senatu rządzącego opieką dochody swoje ciągle pomnaża, tak iż w tym czasie z prowizyi od kapitałów ubodzy miasta Krakowa, żebrać się wstydzący, codzień wyszukiwani, wsparcie; biédne panienki, za mąż udające się, posagi otrzymują, a z rąk nędzy i rozpaczy wyrwani, błagają Boga za swych dobrodziejów. Gdy zatém z dniem 7. paźdz. r. b. nadeszła rocznica upłynionego półtrzecia wieku od założenia Bractwa Miłosierdzia, przeto arcbikonfraternija, chcąc odświeżyć pamięć swego zakładu i zarazem uczcić imię jego założyciela, obchodziła dzień 7go paźdz. r. b. z nabożeństwem w kościele Śgo Piotra, szanowne zwłoki założyciela mieszczącym, publiczną uroczystością, w dniu zaś następnym odbyło się żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. księdza Piotra Skargi, dobrodziejów i braci zmarłych, gdzie dnia piérwszego po odbytém nabożeństwie jw. pastérz naszej dyecezyi sześć par nowożeńców połączył ślubem małżeńskim, z których każda natychmiast po 100 złotych posagu odebrała, nie mniéj i inne dobroczynne uczynki poczynione zostały, i t. d.

Wizerunków znakomitych ludzi w Polszcze (o których wzmianka w Nr. 39. (Rozmait.) wyszedł także zeszyt trzeci, bez dołączenia wszakże żywotów, które poźniéj nastąpić mają, i zawiéra obrazy następujących osób: *a)* Zygmunta Augusta II., króla pol. *b)* Barbary Radziwiłłównéj, królowéj pol. *c)* Konrada księcia Mazowieckiego. *d)* Jana Pawła Woronicza, prymasa Krol. Pol. *e)* Piotra Gamrata, arcyb. gnieźnień. *f)* Zbiegniewa Gorajskiego, kasztelana kijowskiego. *g)* Adama ks. Czatoryskiego, jen. z. p., wyobrażonego w młodym wieku. Obrazy te rytował także pan Antoni Tepplar w Nozdrcu, a rysował z obrazów oryginalnych pan Ks. Prek. Jest i więcéj gotowych do tego obrazów, ale potrzebaby do dalszego wydawania dzieła tego większéj liczby przedpłacających. Szkodaby było, ażeby przedsięwzięcie to, robiące zaszczyt panu Prekowi, z tego względu upaść miało.

Z Warszawy. Niespracowany F. S. Dmochowski ogłasza nowe dzieło, pod nazwą: »Gabinet czytania, to jest: Zbiór powieści, romansów, tudzież artykułów, nauce i zabawce poświęconych. Zapowiedział dzieła tego 36 zeszytów z tyląż rycinami, na miedzi sztychowanémi.

Z Poznania. Księgarnia Teodora Szerka ogłosiła tu prospekt na dzieło: »Zupełne gospodarstwo wiéjskie, teoretycznie i praktycznie ułożone przez towarzystwo ekonomiczne, wydane przez F. Kirchhofa, komisarza ekonomicznego, a przełożone na język polski przez W. J. Z.« Dzieło to, ze czterech tomów składać się mające, podzielonych na 16 zeszytów, obejmować będzie gospodarstwo wiejskie w jego najdrobniéjszych częściach.

Marmur w Krymie. Włoski artysta Franzoni, zajmujący się rzeźbą z marmuru, otrzymał pozwolenie szukania marmuru na południowym brzegu Krymu. Niedawno powiodło mu się odkryć najpiękniéjszy marmur, zwany *Breccia* lub *egipski*, czerwony, z rozmaitémi żyłkami. Pokłady jego są w bliskości Ałupki. Przywiezione bryły są już w Odessie u pana Franzoni, mieszkającego w domu hrabiny Edling, na ulicy Katarzyny. (T. Petr.)

Pan Bogusławski zwraca uwagę w Gazecie Wrocławskiéj, jak dalece jest niedorzecznością stan tegorocznego lata przypisywać komecie Halleja, mającemu pojawić się w początkach listopada r. 1835. W czerwcu bieżącego roku znajdował się on o 125 milijon. mil po tamtéj stronie słońca, a zatém był oddalony od nas o przeszło 145 milijon. mil; od tego zaś czasu nie zbliżył się więcéj jak o 30 milijon. mil; przytém ogon jego był właśnie w tym czasie odwrócony od ziemi. Ile razy pojawiał się ten kometa, nie stawał się nigdy przyczyną szczególnych zmian powietrza; nie zaszło to nawet r. 1759, lubo wtedy najbliżéj, jak tylko można, przesunął się koło ziemi. Z resztą i ten kometa zdaje się być także lekkiem i powiewném ciałem, którego ciężar bynajmniéj jego wielkości nie odpowiada. Nie jest także rzeczą podobną, ażeby planety na jego obrót widoczny wpływ miéć mogły, bo i z jego strony dotąd najmniejszego na nie nie było oddziaływania.

Congregatione de sacri riti jeszcze pod dniem 6go kwietnia 1831 r. uznała błogosławionym Sebastiana Valfri, mnicha, urodzonego w Verduno w Piemoncie d. 9. marca 1629, a zmarłego w Turynie 1710 r. w zakonie S. Filipa Nerri. W dniu 31. sierpnia b. r., po dopełnieniu zwyczajnych ku temu form i warunków, papież potwierdził teraz to uznanie. Tak zwany adwokat czarta nie był w stanie zbić ani jednego zadania z tych, które wnosił obrońca błogosławionego, zaczem musiał ustąpić z placu i proces został wygrany. Kościół Śgo Piotra był z powodu téj uroczystości pysznie przyozdobiony i tysiące świéc woskowych gorzało. Nad głównym wchodem był powieszony obraz, przedstawiający błogosławionego, nawracającego trzech ludzi, z których jeden pismo rozdziéra. Napis był taki: *B. Sebastiano tres Lutheri et Calvini errorum magistros pervicaces catholicae veritatis vi agressus, victas manus dare cogit fortiter et suaviter in Christo triumphans.* (G. W.)

Na wystawie sztuk pięknych w Medyjolanie podobał się najwięcej obraz malarza Galla Galina, przedstawiający Hagarę na puszczy. Artystę policzono po między lepszych malarzy czasu naszego.

Na pewnéj ścianie w Como, we Włoszech, znaleziono nie dawno pierwszy rys sławnego obrazu: Wniebowzięcie P. Maryi, który Correggio wymalował w kopule katedry w Parmie. Podobieństwo pęzla, czas i inne okoliczności nie pozwalają wątpić o prawdziwości tego obrazu. Wszelako kilku znakomitych malarzy pojechało do Como dla sprawdzenia rzeczy dokładniéj i o szczegółach swoich postrzeżeń zawiadomią publiczność. Słychać, że obraz ten ma być przez zręcznego artystę zdjęty i przeniesiony na płótno, ażeby mógł być dla potomności zachowany.

Gdy Canova na łożu śmiertelném leżał i lekarz powiedział mu, że żadnego juz nié ma ratunku, z uległością podniósł wzrok ku niebu i rzekł: »Niech się dzieje wola Boża; Bóg niech będzie pochwalony!« i w chwilę dodał: »Zupełnie ukończyłem Endymiona!« W kilku godzinach potém wyzionął ducha. Wyrazy te wzięto za oświadczenie, że nowy Fidiasz uważa Endymiona za najwięcej ukończone dzieło swoje. Za życia nie można było dowiedzieć się od niego, któremu utworowi dłuta swojego przyznaje pierwszeństwo. »W sztuce daleka jest droga,« zwykł był odpowiadać tym, którzy go o to pytali.

Donoszą z Paryża, że tancerka wiedeńska, panna Fanny Elsler, bardzo się tamże podobała w balecie, i że miała przejść nawet swoję tak bardzo niebezpieczną rywalkę, pannę Taglioni.

W teatrze *Gymnase dramatique* w Paryżu doznała szczęśliwego nader przyjęcia komedyja we dwóch aktach Bayarda, pod nazwą: *La lectrice, ou: Une folie de jeune homme.* Piszą dzienniki, że dawno już tak dobréj ze wszech miar sztuki nie wystawiały teatra paryzkie.

Między Paryżem i Londynem zaprowadzono regularną pocztę gołębiami, przez którą najdaléj w 24 godzinach można w tém ostatniém miejscu dowiedzieć się o kursie Paryża. Doniesienia są zwykle cyframi pisane, ażeby ten, co nie jest poświęcony do tajemnicy, złapawszy gołębia, nie mógł ich odczytać.

Na licytacyi, odprawionéj nie dawno w Paryżu, sprzedawano także między innemi łóżko, w którém spała znana hrabina Dubarri, nim ją pod rządem terroryzmu na śmierć skazano. Pewien kupił to łóżko za 260 frank. w zamiarze odjęcia od niego złota i bronzów i obrócenia na inny użytek. Lecz jakież było zadziwienie jego, gdy przy rozbieraniu znalazł w niém we środku mnóstwo listów oryginalnych królów Ludwika XV. i XVI. i innych znakomitych osób, rozjaśniających wiele ważnych szczegołów dziejów owczesnych. Kopije tych listów sprzedał nabywca pewnemu księgarzowi, który je drukiem ogłosi; oryginały zaś sobie zatrzymał.

Na Polach Elizejskich w Paryżu pracuje teraz pan Lennox nad nowym balonem, który ma być daleko obszérniejszy od dawnego, co mu się był nie udał, i ma mieć skład taki, że będzie w stanie oprzéć się wszelkim niebezpieczeństwom.

Nie dawno w Paryżu na ulicy *St. Jacques* panienka, którą kochanek opuścił, z rozpaczy rzuciła się z piątego piętra! ale, jakie osobliwsze szczęście, nie padła na bruk, lecz na pracującego na dole mularczyka, a przezto wcale nie została uszkodzoną. Mularczyk, uwiadomiony o przyczynie jéj rozpaczy, a jéj ocalenie uważając za dobrą wróżbę, oświadczył, że się z nią ożeni, jeżli przyjmie jego rękę; panienka przyjęła tę ofiarę, i uroczyście obchodzili sąsiedzi ich wesele. Mularczyk może powtarzać przysłowie francuzkie: że mu żona spadła jak cegła na głowę. (G.K.)

Order legii honorowej we Francyi ma teraz najwięcéj członków od wszystkich orderów świata. Jedynie w ciągu ostatniego roku rozdano 15 wielkich krzyżów, 46 komandoryj, a 348 zwyczajnych krzyżów. Ogólna liczba członków tego orderu z trudnością da się obliczyć.

Czytamy następującą anegdotę w Podróży po Wschodzie pana Michaud: »Nie daleko Jerozolimy, w małéj wiosce Ramla, przebywa młoda, ładna Paryżanka, dobrego wychowania, ale nieszczęśliwa, którą szczególne okoliczności w to miéjsce sprowadziły. Bawiła przy małżonce konzula, a ta gdy umarła, została samą w Ramli. Konzul chciał ją przez puszcze odesłać do Europy, gdy w tém Arab pewien zakochał się w niéj i prosił o jéj rękę. Przyjęła rękę jego pod warunkiem, ażeby jéj wolno było żyć na sposób francuzki, jeść widelcem, nosić gorset, i ażeby w Ramli używała wszelkich praw i przywilejów Paryżanki. Umowa ta trwała czas niejaki. Ale Arab ów miał tesciowę; ta gorszyła się bardzo pozwoleniem używania widelców. Odtąd przeklęto biedną Paryżankę i nasi podróżnicy zapewniają, że ta teraz bardzo nędzne prowadzi życie.«

Dotychczas było takie zdanie, że Arabowie nie pielęgnowali poezyi dramatycznéj, gdyż nie znano jeszcze żadnego arabskiego dramatu. Ale teraz ustanie zapewne to mniemanie, kiedy Juan Gos, oryjentalista hiszpański, wynalazł w księgozbiorach Eskuryjału dwa dramata arabskie, i podał wiadomość, że Saracenowie szczęśliwie obrabiali tę gałąź poezyi.

Dziennik Birminghamski robi uwagę, że machiny w Anglii zastępowały r. 1782 robotę 10 milijon. ludzi; r. 1827: 200 milijon., a r. 1833: 400 milijon. ludzi. Wrzeciono, które przy wyrabianiu bawełny kręciło się przed używaniem machin 50 razy na minutę, kręci się teraz 800 razy w tymże samym czasie.

Z Niemiec i Irlandyi wyszło tego roku do Ameryki najmniéj 100,000 osób.

Gdy lord Mannsfield objéżdżał r. 1771 swój obwód sądowniczy w Anglii, przyprowadzono przed niego starą niewiastę, którą obwiniano, że czarownicą była. Zarzucano jéj, że na głowie, do góry nogami, biegała po polu. Lord uważał, że lud był bardzo wzburzony; z oświecania go i wystawiania mu niesłuszności oskarżenia mogły były złe skutki wyniknąć. Użył przeto innego sposobu i groźnie przemówił do niewiasty: »Czy masz zaszczyt być rodowitą Angielką?« — »Jestem nią, milordzie,« odpowiedziała. »To szczęście twoje,« rzekł surowo; »w Staréj-Anglii wszystko wolno, czego prawa nie zakazują, a nié ma takiego prawa, któreby zabraniało chodzić na głowie; odejdź, jesteś wolna! Tak jest, mości panowie,« rzecze obracając się do oskarzycieli, »gdyby przypadkiem przyszło nam to na myśl, odbyć przechadzkę na głowach, to dzięki Bogu żaden król świata zakazać nam tego nie może.« — »Żaden!« krzyknął lud, przekonany tym dowodem i zawoławszy: »Niech żyje wolność Staréj-Anglii!« rozszedł się spokojnie.

W Nowym-Orleanie (w St. Zjed. Ameryki) odprawiono nie dawno pojedynek na pistolety nie daleko tego miasta i w obecności kilkuset amatorów. Pewny dziennik amerykański, donosząc o tém, dodaje, że właściciel statku parowego, na którym widzowie na ten pojedynek jechali, obiecał 100 dolarów honoraryjum temu, kto kłótnię wzniecić i tę do pojedynku doprowadzić potrafi!

Amerykańskie gazety dziwnym sposobem opowiadają różne zdarzenia. Z okoliczności pęknienia kotła na statku parowym opisując jeden z dzienników wynikłe ztąd okropne skutki, tym sposobem kończy opisanie tego przypadku: »Dwoje kochanków siedziało razem, gdy się to stało. Wysoko w powietrze wysadzeni zostali; tam kochanek objął rękoma swoję kochankę, na ustach jéj wycisnął pożegnawcze pocałowanie, a w 20ścia sekund potém padły w rzekę ciała kochanków, przemienione w massę atomów.

Sprostowanie. W Nr. 41. Rozm. na str. 328, w przedz. 1széj, w. 37m, miasto prawie, czytaj: *pewnie;* na str. 330, w przedz. 1széj, wiér. 17 od dołu, miasto ubóstwo, czytaj: *ubóstwo.*

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.